

Tygodnik

25 Lipca — 30. — 1818.

Jak Publiczność nauczać niech się mędrzec sili,
My rodaków rozerwać chcemy w nudów chwili.

PARNAS WE ŚNIE.

Zawsze cokolwiek prawdy i w bajce się mieści.
Sen to mój opowiadam, sen niepospolity,
Jak wdzierałem się marząc na Parnasu szczyty.
Kto będzie raczył, mojej posłuchać powieści,
Te nocne wydarzenia opowiem mu w treści.
Niech tu nikt z zdań nie szuka i z rymów zalety,
Nie jest to ten nadludzki ani sen Poety,

Dziwaczne to sǫ myśli, wesołe marzenia,
Pośród nocy, cichości przyjemnej i cienia.

Nieścigłym mierzǫc pędem powietrzne krainy,
Ponad Parnasu gaje, góry i doliny,
Mijajǫc je marzǫcy, niewidzǫc ich prawie,
Leciałem, (łatwiej we śnie lecić niż na jawie)
Zapewnieście odemnie byli zbyt dalecy,
Gdyż was dostrzec niemogłem Rzymianie i Grecy.
O Homerze! Maronie! Wy! Panowie chwały,
Słyszǫc zdala, jak odgłos góry powtarzały
Rycerskich waszych czynów to tkliwy, to szczytny,
Naglem ujrzał przed soba Parnas nowożytny.
Przestrzeń jego obszernǫ spostrzegłem o milę,
Ciǫgnǫł się pośród dolin, miłych łǫk i gajów,
Na tyle się podzielał (jeśli się nie mylę)
Odrębnych zaokrǫgleń ile dziś jest krajów.
W każdém zaokrǫgleniu było wzgórków tyle,
Ile dziś jest poezji odmiennych rodzajów,
Niemogǫc dłużej bawić, niechcǫc trwonić czasu,
Najśpieszniej do Polskiego dǫżyłem Parnasu.

Błǫdzǫc w różnych krainach, wśród pagórków różnych.
Spotykałem na drodzę zbłǫkanych podróżnych,
W tem znalazłem szczęśliwym trafem dobroczyńcę,
Co mię raczył oświecić, osłodził me troski,
Cztery wielkie do Polski wskazał mi gościńce,
Angielski i Niemiecki, Francuzki i Włoski.

Niewiedząc który więcej wemnie uczuć wznięci,
Bez wyboru, na oślep, rzuciłem się w trzeci.

Wszedłszy w Parnas francuzki, w ten ogród natury,
Popod długie ich zwolna długo szedłem góry,
Wzrok na ich ubarwione kwiatem wznosząc czoła,
Mile się tam brzmić zdawał nawet głos ponury,
A same tylko kwiaty, krzewy, albo zioła,
Osłaniały gór boki i wyniosłe szczyty,
Jużem błądził, wich cieniach przyjemnych ukryty,
Kiedy w tem nagle jakaś osoba wesoła,
Która na wszystkich wzgórkach wonne kwiaty zbie-
(ra,
Schodzi z nich na dolinę i grzecznie mię woła,
Po postaci, po twarzy, poznałem Woltera.
„Chodź za mną; (mówił do mnie gienijusz łaskawie)
Wszędzie mi wolno bywać; wszystkie wzgórki pra-
(wie,
Szanują mię, lub moją uznawają władzę;
Wszędzie bywam, i ciebie wszędzie poprowadzę.
Na szczyty gór wyniosłych na Pegazie wzlecim.

Melpomenie hołdują te dwie wiekie góry,
Ja jej lennik panuje na pagórku trzecim."
„ - A gdzież jest: (zapytałem) Krebiljon ponury?
„ - Tu tylko; (rzekł mi na to) są Trajedje same,
Lecz pośród gór zdobywszy wydrążoną jamę,
Krebiljon w niej sprawuje rządy samowładnie,
Nie jeden idąc do nas, w jego jamę wpadnie.

Do tych gór, wszakże widzisz (mówił Wolter dalej)
Ciśnie się mnóstwo ludzi jak rój pszczół do ula,
Żaden z nich nie przeraża, żaden nie rozczula.
Jeśli masz szaleć, nigdy podobnie nie szalej,
Ważne ci sam w tej mierze mogę dać przestrogi:
Chodźmy naprzód na górę wyniosłą Kornela,
Poznasz jak się wysoko umysł wznieść ośmiela,
Nie zawsze się rozczulisz, wiele doznasz trwogi.
Ale słysząc Rasyna mego przyjaciela,
Zapłaczesz. Jakiż człowiek niezapłacze srogi?
Chodź, szanuj rady, których Wolter ci udziela,
Lecz wskazanej przez niego nieopuszczaj drogi."

Wstępowaliśmy w górne Kornela siedlisko,
Nie bez trudów wychodząc na skał wielkich stosy.
Gdym tak znane Woltera wymówił nazwisko,
Wnet ciągłe go odgłosom podały odgłosy,
I sam Kornel wystąpił na jego przybycie.
„Chodź Wolterze; (rzekł Kornel) odpoczniesz na
(szczycie,
Lubo się na nim bawić niebędziesz wesoło."
Rzekłszy wiódł nas na górę gdzie siedzieli wkoło,
Djego, Rodryg, Xymena, Pompej, August, Cynna,
Horacyjusza gniewu ofiara niewinna,
Płacząca zgonu swego kochanka Kamilla;
Za drzewami ukryty spoczywał Atylla,
A srogość jego milcząc zgrzytała bezczynna.

Widziałem innych sławnych przez cnoty lub zbro-
(dnie

Poznał mię z niemi Kornel i prosił łaskawie,
Abyśmy odpoczęli i siedli wygodnie,
Ale Wolter o dalszej myślęcy wyprawie,
Uśmiechnął się i na to powiedział łagodnie:
„Przebacz jeżeli teraz dłużej niezabawię,
Gdyż tak dobrze o naszej myślącemu sławie,
Temu ją podróżnemu muszę wskazać godnie."
Z szedłem z nim, innych pragnąc obaczyć ciekawie,
I wielkie widząc góry śmiało szliśmy pod nie.

Niewiem czyli mię mara czyli sen mię łudzi,
Nieśmiem siebie do wielkich przyrównywać ludzi,
Lecz sądzę że nadludzką otoczony chwałą,
Kiedy Henryk Świętego obaczył Ludwika,
I śladami takiego idąc przewodnika,
Wyniesiony w niebiosa ujrzał ziemię całą,
I przyszłość wyjawioną, i przeszłość co znika,
Nie tyle się na ów czas wzniósł nad śmiertelnika,
Jak ja gdy za Wolterem stopą szedłem śmiało.

Lecz precz z tąd moje pędzle, ty jeden Rasynie
Porywające wydać możesz uniesienia,
Których doznałem, w twojej stanąwszy krainie,
Gdy zatrute rospaczą Hermijony tchnienia,
Gdy boleść co ze łzami Andromaki płynie,
Niezmiękczonej Pirrusa srogości niezmienia,
Gdy rosnącego w dzikość widziałem Nerona,
Okrutnością równego dumnej Agrypinie,
Gdy wielkość Mitrydata choć upokorzona,
W myśli na gruzach Rzymu spalonego kona.

I zą Ifigienijǫ ginǫcǫ w daninie,
Płacz matki, gniew Achilla, żal Agamemnona,
Póki nieba wyroków zasłony niezedrǫ,
Póki ich Kalchas, srogim Grekom nieobwieśćt;
Lecz jakież serce moje uczuło boleści,
Dręczǫc się z nieszczęśliwǫ, lecz występnǫ Fedrǫ?
Gdy Hipolit ofiarǫ jej zapałów pada,
Gdy zgon jego Teramen ojcu opowiada,
O jakże się zdumiało, gdy po długim czasie,
W uswięconym przez ciebie, ujrzałem Parnasie,
Zwycięztwo cnoty, boskǫ wyniosłość Joada,
I twojǫ wielkość skromnǫ niewinny Joasie!

Zdumiony, nadzwyczajnym przejęty zapałem,
Przy tobie już Rasynie wiecznie zostać chciałem.
Ale Wolter rzekł do mnie: „W dalsze chodźmy kra-
(je,
Inne przymioty, innych mogǫ być udziałem:
Obaczysz jak sǫ różne piękności rodzaje.
Przyznam ci się, bo prawdy przed tobǫ nietaję,
Podobnie jak ty byłem zdumiony, lecz potem
Oddaliłem się, własnym uniesiony lotem.
Chodź zemnǫ, mojej góry świeże odwiedź gaje,
Może się i w nich także zabawisz przyjemnie,
Przysada im próżnego wdzięku nie dodaje.
Błędy moje uważaj, a nigdy nikczemnie,
Niebespiecznych piękności nienaśladuj we mnie."

Jako myśl bystra wielkie pomija przedziały,
W dalekie w mgnieniu oka przenoszǫc się strony;

Tak ja z Wolterem mimo urwiska i skały,
Na szczycie góry jego stanąłem zdumiony,
Wnet nas pierwsze osoby kraju przywitały;
Zaira łzami zlane przynosąc mu kwiaty,
Od przyszłej swojej chciała okupić się straty.
Westchnął Wolter głęboko, i rzekł: „Próżne jęki!
Prawa ustanowione odwiecznemi laty,
Ginąć ci każą, ginąć z Orosmana ręki.
Próżna o ciebie wszystkich dusz czułych obawa.
Zadrzą wszyscy, gdy Teatr twym zgonem zakrwa-
(wię.
Ty, poddanka Teatru, ulegaj ustawie,
Ja władca, muszę ściśle dochowywać prawa.
Patrzaj, (rzekł do mnie Wolter) że nadto łaskawie,
Jednemu przepuściłem, i może niegodnie,
Mahometa za słabo ukarałem zbrodnie,
Wszyscy za to sędziowie łajali mię prawie.

Biedne, może dziwacznych przesądów ofiary,
Edypie i Brutusie, ciężkiej godni kary!
I ty, o nieszczęśliwy kochanku Zairy,
Co się sam w czarne zgryzot wtrąciłeś otchłanie!
I ty, przed zgonem swoim wspaniały i szczyry,
Ale słuszniej od niego ginący Guzmanie!
Z woli ludzkiej na tamtym zgineliście świecie,
Lecz cieszcie się, bo zemną wiecznie żyć będziecie.
Widziałeś tedy moje najwyższe siedlisko;
(Rzekł Wolter) teraz w szybkiej przejrzemy kolei
Inne poboczne wzgórki. Od tych trzech gór blisko,

Wznosi się wyższa od nich góra Epopei,
Tam cię nie poprowadzę, na niej bardzo ślisko,
Sam nawet wyjść bez trudów niemiałbym nadziei.

Ale teraz te miejsca, czem prędzej porzucę,
Gdyż mię w Polsce Poeci oczekują młodzi;
Kiedyś to smak prawdziwy w rymotworczej sztuce,
Psujący się już u nas, w Polsce się odrodzi.
Chodźmy i nas dzielącą przestępujmy miedzę.
Jeżeli sława moja do Polski dochodzi,
I jeżeli nią moje przybycie wyprzedzę,
Pewnie mię przywitają z grzecznością uprzejmą,
I zasłony z przedsiewzięć jeszcze skrytych zdejmą.

Nieścigłym lecąc pędem spostrzegliśmy zdala,
Wesołego Moljera, srogiego Bóala,
Dobrego Lafontena bez żadnych przymusów,
Kinolta spiewliwego i obudwu Rusów.

Niewymowną się ciągle poiłem roskoszą,
Widząc tych wielkich ludzi, kiedy nas tym czasem,
Czucia jakieś porywcze w pędzie swym unoszą,
I pod Polskim nareszcie stawiają Parnasem.

„Polskiż to Parnas widzę? (Wolter mnie się pyta)
Tu (rzekł) płonnym się wdziękiem oko nie zachwy-
(ca,
Złotem tylko kwitnąca chwieje się pszenica,
Albo ciężarne chlebem kołyszą się żyta.
Wonią napawające nie rosną tu kwiatki,
Ale może je z czasem wydać ziemia żyzna,
Wkrótce jej (mówił głośniej) Europa przyzna

Piewsszeństwo nad córkami jednej Sławian matki,
Tu będzie wielu sławnych Poetów Ojczyzna."

Wtem postrzegliśmy wchodząc w brzmień weso-
(łym chórze,
Krasickiego na pierwszej na najwyższej górze,
Jego ustawnie prawie otworzone usta,
Wydawały głos, śmiechem niekiedy tłumiony,
Miły dla pługa, miecza, pióra i korony,
Czy odzywał się śmiało do Króla Augusta,
Czy zapalał rycerzy do kraju obrony,
Czy przed nim uciekała rozwiozła rospusta,
Czyli bajkami bawił dziéci i matrony;
Jego wesołych myśli, posłuszny niewolnik,
Kochał go Król i rycerz, poeta i rolnik.
Schodzi z góry Krasicki, poznawszy Woltera,
Bramy mu do Parnasu Polskiego otwiera,
I mówi. „Wielki mężu tu z dzieł tylko znany!
Co do Polski przybywasz z nad brzegów Sekwany,
Chwało twojego wieku, chlubo twojej ziemi,,
Chodź i chciej się z Muzami poznać Słowianskiemi.
Oto widzisz te sławne przez wiersze i cnoty,
Któremi jaśniał niegdyś wiek Zygmuntów złoty,
Tu te, co po przeciągu dosyć długim czasu,
Wygrasowały ścieszki zarosłe Parnasu,
Które jeszcze śpiewały schronione w tym gaju,
Mimo nieszczęść domowych, mimo przygód kraju,
Niezatrwożył ich oręż sąsiadów zdradziecki.
Szymanowski, Dmóchowski, Kniaźnin i Trembecki,

Karpiński i Godebski, co z orężem w ręku,
Rycerskie nucił pieśni pośród broni szczęku.
To sę poeci chwałę podwójnę okryci,
Którymi się ta ziemia i cieszy, i szczyci;
Już ich ze snu głos wdzięczny współrodaków bu-
(dzi."
„Poznam ja tych (rzekł Wolter) znakomitych ludzi,
Chciałbym z niemi przyjaźnię połęczyć się ściśle,
I dla tego to, dłużej zabawię nad Wisłę.
Ale racz mi okazać teraz te mięszkania,
Które jeszcze przedemnę ciemna mgła zasłania.
Błękajęce się tylko postrzegam w niej cienie,
Jakichże to poetów ma tu być schronienie?"
„Tu; (rzekł na to Krasicki) miejsce jest gotowe,
Dla tych, co teraz Polskę dokonalę mowę.
Oni jeszcze pracuję, a wdzięczni Polacy,
Już hołd niosę ich cnotom, talentom i pracy.
Przez czas długi Ojczyzna nasza rozszarpana,
Niemiała i praw własnych i własnego Pana,
Cudzoziemiec z naszego zdzierał odzież chłopa,
A Polaków widziała cała Europa,
Jak rdzewiejęcej w pochwach chwyciwszy się stali,
O pomoc, o ratunek, o pomstę wołali.
Ten który wiekiem zgięty, miał już żyć lat mało,
Któremu słabe zdrowie już niepozwalało
Szukać cienia Ojczyzny pośród walk pogromu;
Łzami w kętach wiejskiego zalewał się domu,
W gorzkich liczęc tęsknotach leniwe godziny,
Opłakiwał rycerskie wierszem ziomków czyny.

Przyszedł czas, gdy się ze snu ludy obudziły,
A spłonione spojrzawszy na Polskie mogiły,
Wróciły nam wydartą w śnie dziwacznym ziemię,
I narodem uznano dzielne Lecha plemię.
Każdy w ów czas, pomimo kalectw i siwizny,
Wlókł się z zakąta swego na łono ojczyzny,
Przetrwawszy jej rozbiory, jej smutne przygody,
Przynosił jej lat długich, dłuższych cierpień płody,
Rozczytuje się Polak w tych smutnych pism zbiorach,
W tych szanownych nieszczęścia i czucia utworach.

Patrz na tego co włosy okryty siwemi
Nieszczęśliwy! na Polskiej niestarzał się ziemi!
Słuchaj, jak śpiewa męstwo Ksiożąt ze krwi Lecha,
Patrz jak smutny, jak nawet smutnie się uśmiecha.
Teraz piórem pracuje. Dzwigał oręż krwawy
Zawsze dla kraju swego, nietylko dla sławy,
A po jego utracie ciężkich smutków brzemię,
Poniósł na przeciw-stopną naszej ziemi ziemię.
Z kąd wrócił walcząc długo w ich swobód obronie,
Odpocząć na wskrzeszoném swej ojczyzny łonie."

Tu odetchnął Krasicki, potem rzekł: „Ten drugi,
Równemi się ojczyznie zalecił posługi.
Niewiele jego wierszy chciwy Polak liczy,
Wiele w nich wielbi pracy i czuje słodyczy.
Słuchaj jak jego muza w piękności obfita,
Bochatyrów Raszyna i Zamościa wita.
W tej samej do nich chwili ozwał się ten trzeci,
Ci dwaj sławni w swych odach różnią się poeci,

Gdy ten płynny jak rzeka powoli się toczy,
Tamten jak piorun blaskiem nagle razi oczy,
Ten łatwiej poezji piękności rozwija,
I powoli się wznosi, ten nagle się wzbija.
Ale w obu miłością Ojczyzny tchną rymy,
Piewszego jednak jeszcze później obaczymy.

Stoi zdala za niemi ten poeta młody,
Znany mi z kilku bajek, znany z jednej ody.
Poległego pod Lipskiem Księcia widzisz chwalcę,
Który mu i w tej krwawej towarzyszył walce,
I w czułej mowie z wojskiem płakał go za Renem,
Wszakże jako Poetę wspomnieć go winienem."

Tak rzekł, bacznie słuchając wielkiego człowieka,
Idąc powoli za nim, postrzegłem zdaleka
Pagórek Epopei, wysoki niezmiernie,
Zewsząd go otaczały i drzewa, i ciernie,
Z każdej go z ciekawością obejrzawszy strony,
Do obu wielkich ludzi krzyknąłem zdziwiony:
„Niewidać tu ni ścieszki, ni stóp ludzkich znaku!
Chyba kto na skrzydlatym wzbijał się rumaku."
„Nie, (rzekł nato Krasicki) w mocnym jesteś błędzie,
Nikt jeszcze niebył na nim, może nikt niebędzie,
Ja tę tylko pod górą uprawiałem niwę,
I tamem poemata nucił żartobliwe,
Raz tylko miałem zamiar może za zuchwały,
Chciałem drzeć się przez ciernie na te straszne ska-
(ły,

Lecz z naszemi Poemy w jeden rząd nas kładą,
Jak mnie z w o j n ą C h o c i m s k ą ciebie z H e n r y j a-
(dą."

„Jakież (rzekł Wolter) dźwięki przerwały tę ciszę?
Jakież zachwycające zewsząd śpiewy słyszę?
Tu Polak srogość mowy swojej ułagodził,
I męskość jej z powagą brzmień wyniosłych zgodził,
„Te (rzekł na to Krasicki) głuche przedtem skały,
I od wieków zarosłe te gaje milczały,
Lub słychać tylko było dzikich zwierząt wycie.
Ten którego postrzegasz na pagórka szczycie,
Którego się wydaje postać tak wspaniałą,
Co przez pół wieku ciągle Polskę bawił całą,
Pierwszy tu Muzom zawód otworzywszy nowy,
Uczył ich śpiewać, polskiej nie kalecząc mowy,
To wylewając śpiewów Auzonskich słodycze,
To nucąc narodowe piosneczki rolnicze.
Wszyscy jęli się śpiewać, ten poeta, który
Na sam szczyt tej skalistej wydobył się góry,
Nad muzyką rozciągnął panowanie szersze;
Ah słuchaj, jak miarowe jego płyną wiersze!
Jak dziwny w spadkach, jedną często kończąc gło-
(ską.
Umiał w swych wierszach szybkość naśladować Wło-
(ską."

W tem umikł Wolter, a ja szedłem z boku,
A wtem się góry Talji pokazały oku,
Nie jeden z nas je zważał na opoce wsparty,
Która ich uszczypliwe powtarzała żarty.

„Niedługo (rzekł Krasicki) pobędziem w tym gaju,
Mało tu kto szczęśliwie pisał w tym rodzaju.
Ten, którego widziemy, zawsze pracowity,
Najwięcej tych gór puste poosadzał szczyty,
Niechaj tylko w swych pracach nigdy nieustaje,
Zna on dobrze naszego ludu obyczaje.
Ten drugi w swoim tylko ufny jest dowcipie,
Rozśmiesza lecz błaznuje, nagania lecz szczypie.
Ten którego przy samym widzieliśmy wchodzie,
Nieraz sił swych w tym trudnym doświadczał zawo-
(dzie.
I ten Ksiądz co spoczywa pod cieniem kościoła,
Także go niegdyś Muza lubiła wesoła.
Jednak ten kąt Parnasu jeszcze jest ubogi.

Chodźmy dalej i naszej trzymajmy się drogi,
Ujrzemy dzieła, większej może godne ceny,

Oto potrzegasz góry państwa Melpomeny;
Widzisz tego, co pierwszy rozbił te opoki,
Który wskazał Polakom tych gór szczyt wysoki.
Jemu też wdzięczny codzień składa hołdy winne.
Horacyjuszów, Cyda, Alzyrę i Cynnę,
Na oczyszczony z dziwactw teatr narodowy
Przyprowadził, i Polskiej nauczył ich mowy.
Niechaj tylko pracuje, niechaj tylko wyda
Jaki swój utwór własny, lub Polskiego Cyda.

Dalej stoją dziełami własnemi wsławieni,
Których usiłowania Polak równo ceni,

Wielu innych pominę, trzech ci tylko wspomnę,
Których imiona mogą przejść w czasy potomne.
Pierwszego nieszczęśliwy talent chociaż rzadki,
Trzema już na teatrze wsławił się upadki.
Wznosi umysł i razem przeraża okropnie,
Niech pracuje a pewnie szczytu góry dopnie;
Niech pozna lepiej Polskie zwyczaje i prawa,
W ów czas doskonałego da nam Bolesława.
Byle chciał, wielkie może mieć w kraju zasługi.

Wyższe już sobie miejsce zapewnił ten drugi;
Znakomitą i wieczną okrył się już chwałą,
Nie przeto by napisał sztukę doskonałą;
Są w niej wady i wielkie, a krytyk surowy,
Znajdzie wiele uchybień, w ciągu jej osnowy.
Lecz Polak każdy, Polak czuły a nie twardy,
Niebędzie rozumował po zgonie Ludgardy.

O ty! coś w wiersze przelał smutek twojej duszy,
Ach kogóż tkliwość moja do łez nie poruszy
Szczęśliwy już niezważaj na okrzyki żaków;
Spojrzyj tylko na oczy Polek i Polaków.

Chodź Wolterze, widoki ujrzemy tu nowe,
Tej sztuki którą widzisz powiem ci osnowę.
Barbara to, Księżniczka z krwi Książąt Litewskich,
Widzisz ją monarchinią w podwojach królewskich,
Niedawno tu przybyła, patrz jak smutna, blada,
Siostrze męża, nieszczęścia swoje opowiada,
Wszystkich obrazem szczerej miłości rozczula,
O jak kocha swojego i męża i króla!

Ona umrze, któż na to niezadrży wspomnienie?
August przybywa, August kocha ją szalenie,
Jeszcze za życia ojca zaprzysiągł jej wiarę,
Lecz równie kraj szanuje, jak kocha Barbarę,
Nieśmie mu się sprzeciwić, waha się i chwieje;
Takim jest zawsze, jakim malują go dzieje.

Przynimto sędziwego postrzegasz rycerza,
Którego Król szanuje, któremu się zwierza;
Tarnowski czy go chwali, czyli go nagania,
Godny tego szacunku, godny zaufania.

A ten poważny Polak, Boratyński stary,
Niezezwala na związki Króla i Barbary:
Marszałek sejmu śmiało do tronu przemawia,
Uwagę nad wszystkiemi względy zastanawia,
Wszystkie mu wzory, czasy, prawa przypomina;
Dowodzi, przekonywa, prosi i zaklina.
Wolterze, czyż nieczujesz słodyczy w tej mowie?
Niedziw się, ale słuchaj co mu Król odpowie,
Nieunoś się Auguście w zbytecznym zapale,
Zaciętości Polaków nielękaj się wcale,
Stałej Boratyńskiego nielękaj się duszy,
Barbara go, lecz bardziej tron zachwiany wzruszy,
Nie wydrą jej Polacy męża i korony;
Ale jednak drżyj o nią, ale bój się Bony.

Ta smutna złości matki i nieszczęść ofiara,
Gdyby przed trzema wieki prawdziwa Barbara,
W miłości swojej, razem tkliwa i wspaniała,
Tak wymownie jak teraz żalić się umiała;

Gdyby była tak szczera, niewinna i czuła,
Możeby jej naówczas Bona nieotruła".
„Ale czemu (rzekł Wolter) ta okrutna Bona,
Nim swoich tak szkaradnych zamiarów dokona,
Zbrodni swojej tak bliskich korzyści się zrzeka?
Czemuż wszystko porzuca i do Włoch ucieka?
Jest to błąd bardzo ważny, jest to wielka wada.„

„Tak, zapewne (Krasicki na to odpowiada)
A chociaż i w tem inne mogła mieć zamiary,
Wreszcie, potępiaj Bonę, lecz niegań Barbary."
Przystali na to oba. Po końcu rozmowy,
Wolter takiemi do mnie odezwał się słowy:
„Oto masz wielkie wzory, piękne masz przykłady,
Wstępuj śmiało w tych mężów znakomitych ślady,
Oby cię teraźniejszych naszych blask niezłudził,
Obudź się więc i pracuj." W tymem się obudził.

T. Z.

PIÉRWSZE WZRUSZENIE.

Powieść.

Młody Henryk zwykle bawił w Krakowie. Postać jego była przystojna, twarz ujmująca, dusza szlachetna i czuła. Choć nie bogaty, był powszechnie kochany. Po śmierci Ojca zostało mu tylko sześć tysięcy złotych rocznego dochodu. Mała ta summka wystarczała jednak na jego potrzeby, umiał nawet oszczędzać z niéj część dla ubogich.

Henryk w czasie wolnym od zatrudnień odwiedzał Paniǫ Zofję dalekǫ swojǫ ciotkę, która już od lat kilku żyła oddalona od wielkiego świata. Miała przeszło siedmdziesiǫt lat, i z wielkǫ cierpliwościǫ znosiła przykrości nieoddzielne od jéj wieku i położenia. Rewolucja wydarła jéj znacznǫ część majǫtku, i droższe nad majǫtek dobro w osobie Pana Leona jéj zięcia, który zginǫł w boju za sprawę wolności. Córka Pani Zofji pozostawszy wdowǫ nie mogła znieść tak bolesnéj straty. Wkrótce poszła za mężem, zostawiajǫc pieczy babki małǫ Emilkę która jéj matkę przypominać miała. W niéj pokładała Pani Zofja przyszłe nadzieje i szczęście swoje. Gdy już wiek podeszły nie pozwalał poświęcać się wychowaniu Emilji, z ciężkim żalem przyszło się jéj z niǫ rozłǫczać. Posłała jǫ do Warszawy pewnéj i zaufanéj przyjaciołce swojéj. -- Tak więc położenie Pani Zofji nie było najprzyjemniéjsze. Jakoż więc zabawę znaleźć mógł młody Henryk w jéj domu? zapyta się nie jeden. Oto: znajdował roskosz w pocieszaniu nieszczęśliwéj starości, w dopełnianiu obowiǫzków familijnych i dawaniu poznać ciotce, że nie jest zupełnie opuszczonǫ.

W tém interesa domowe powołały go na niejaki czas do Lwowa. Za swoim powrotem biegnie odwiedzić szanownǫ swojǫ przyjaciołkę. Zastaje jǫ samotnǫ. Siedziała w krześle wsparta na ręku, w myślach zatopiona. Na widok wchodzǫcego Henryka

wypogodziła czoło, a przyjemny uśmiech ożywił jéj twarz. Wymawiała mu długą jego niebytność. - Wprawdzie - dodała - przebaczyć potrzeba młodym ludziom kiedy o nas zapominają; powinniśmy im i tak dziękować, za chwile zabawom odjęte, w których nam udzielać się raczą". „Ach Pani - przerwał jéj Henryk z żywością - zawsze ja o tobie pamiętałem Nagły mój odjazd do Lwowa"... „Wierzę ci - przerwała Pani Zofja. - Znam serce twoje. Wiem żebyś mnie nie porzucił bo jestem nieszczęśliwą".

Tu kilka łez twarz jéj zrosiło. Dobry Henryk spogląda na nią z wzruszeniem. „Czyż Panią nowe jakie spotkało nieszczęście"? „Nie Henryku" - „A te łzy? „Nie dla mnie one płyną". „Przerażasz mnie Pani, może twoja wnuczka...." „Zgadłeś, nad jéj ja losem boleję. Wprawdzie wszystkie jéj nieszczęścia są dopiero w przyszłości, ale niezadługo, biédne dziecię, może matkę swoją utraci. „ „Jakto Pani? „ „Henryku! w wieku moim nie potrzeba się łudzić. Może za rok, może za miesiąc, może za kilka dni, już mnie więcéj nie będzie. Tak więc wnuczka moja kochana Emilja zostałaby sama na świecie, bez wsparcia, bez opieki, i bez sposobu do życia. -- Ta myśl zatruwa spokojność mojéj starości".

Henryk starał się uspokoić obawę Pani Zofji. - Niebo - mówił - opiekuje się nieszczęściem; niebo znajdzie jéj przyjaciela". - „Przyjaciela? - odezwała się Pani Zofja - ty sądzisz o ludziach podług serca twe-

go; wnuczka moja nie ma majątku, a w tych czasach interes robi przyjaciół".- „Nie bój się Pani, Emilja pewno znajdzie przyjaciela".-- „Ja przynajmniéj nie znam żadnego". - „Czyż Pani o mnie zapomniałaś? zawołał Henryk idąc za pierwszém swojem wzruszeniem. Czyliż mnie nie masz już za swego przyjaciela? mógłżem ci się stać w czém podejrzanym?"-- „Nie Henryku - odpowiedziała Pani Zofja - niepowątpiéwałam na chwilę o sercu twojém; ale nieprzystałoby abyś w dwudziestym trzecim roku był opiekunem siedmnastoletniéj panienki". - „Kiedy tak, to ją pojmę za żonę, a wtedy starać się będę, abym ją zrobił szczęśliwą". - „Nie widziałeś jéj nigdy, a żądasz jéj ręki?" - „Dość na tém, że jest nieszczęśliwą i że potrzebuje pomocy". - Lecz wiesz dobrze, jak jest Emilja ubogą". - „Gdyby była bogatą, nie byłbym jéj potrzebnym". - „Poczciwy młodzieńcze - zawołała Pani Zofja ze łzami radości - daję ci ją za żonę. W twoje ręce, pod tarczę cnoty składam ten drogi zakład moich nadziei. Nim tydzień upłynie, ujrzysz twoją przyszłą małżonkę. Ale jakże ci się za tyle wspaniałomyślności i szlachetności wypłacę. Czemuż nie jestem bogatą! Bez ciebie ostatnie chwile życia mojego byłyby goryczą zatrute, teraz mogę już spokojniéj oczekiwać śmierci".

Henryk wkrótce pożegnał się z Panią Zofją, chcąc się wydrzeć oświadczeniom jéj wdzięczności. Ju wch odził do swego domu, gdy spostrzegł Adol-

fa z którym się poznał w domu Pani Zofji, i który go za to bardzo szacował". „Skąd idziesz Henryku, zdajesz mi się nadzwyczaj wzruszony". - „Byłem u Pani Zofij". - „I cóż stąd ?". „Jéj los mocno mnie obchodzi". - „W saméj rzeczy jesteś smutny. Ale pódź ze mną, zaprowadzę cię do świetnego towarzystwa". - „Wielki świat nie potrafi mnie rozerwać". - „Jeśli się będziesz nudził, to sobie siądź w kącie i patrz na przesuwające się osoby, a to cię pewnie zabawi".

Henryk daje się wciągnąć do domu Pani Wojewodziny która raz w tydzień dawała u siebie wieczory. „Bądź ostróżnym Henryku - mówił Adolf do przyjaciela - zobaczysz niebezpieczną dla serca twego osobę młodą Paulinę K. Przyjechała niedawno z matką która na zawsze opuszczając Warszawę, kupuje w naszych okolicach dobra za pięć kroć sto tysięcy. Sama Pani K. jest osoba bardzo przyjemna i dobrego tonu. Ale powtarzam ci raz jeszcze, strzeż się jéj córki Pauliny, bo łatwo w niéj zakochać się można.

Henryk innemi myślami zajęty, nieuważał na to co mu Adolf opowiadał. Wkrótce wysiedli przed dom Pani Wojewodziny. Ledwie weszli do Salonu, młodzież uprzejmie powitała Henryka, bo zwyczajnie się zdarza, iż skromność i szczerość zniewala sobie umysły.

Przywitawszy się ze znajomemi Henryk zwrócił oczy na nieszczupłe grono pięknych kobiét nie

daleko niego siedzących. Z tego zbioru wdzięków jedna szczególniéj oko jego uderza. Przypadkiem spojrzała na Henryka, spuściła oczy, a żywy rumieniec na twarz jéj wystąpił. Henryk doświadcza nieznanego dotąd wzruszenia, zbliża się do Adolfa, i pyta się go o imię téj młodéj osoby.

„ Jakże ci się podoba? - rzekł Adolf z uśmiechem - „Przystojna". „Pochwała ta jest zbyt zimną. Powiédz raczéj, że jest wzorem piękności. Jest to młoda Paulina o któréj ci wspominałem. Nie poznałeś jéj z mego opisu. Jak widzę zły ze mnie malarz. Odebrała najstaranniejsze wychowanie, posiada wiele wiadomości, a jednak zachowała cały wdzięk skromności niewinnéj. Wszystkich zadziwiają jéj talenta, ale ona z niemi igra jak niegdyś z lalką, bez najmniejszéj próżności.

Henryk nic nie odpowiada, zbliża się do dam, miesza się do ich rozmowy, i okazuje ten dowcip wszędzie lubiony, co z serca pochodzi, i na tym zależy, aby malować uczucia swoje z tą łatwością, żywością i naturalnością która stanowi przyjemność rozmowy. Im więcéj mówił, tém go dłużéj słuchać chciano. Zdawało się jednak, iż Pani K. największą wartość przywięzywała do tego co opowiadał. Henryk rozmawiał z nią długo; i przez chęć podobania się swemu wiekowi, potrafił odkryć swoje przymioty. Często pod czas rozmowy obracał oczy ku téj stronie, po któréj siedziała Paulina. Pani K. uradowana tą nową znajomością zbliżyła się do Adolfa

i dość głośno rzekła do niego: „Młody ten człowiek wiele ma dowcipu”. „Pani - odpowiedział Adolf - dowcip jego jest niczém w porównaniu zalet serca i jego sposobu myślenia. Kto go dobrze pozna, ten dopiéro najlepsze o nim mniemanie mieć może”.

Henryk siada blisko Pauliny, uważa wszystkie jéj poruszenia, słyszy głos jéj anielski, widzi uśmiéch czarujący, a w sercu swojém czuje mocniéjsze wzruszenie. W ujmującéj postaci wkrada się miłość, bo wystawia mu jéj przedmiot jako wzór skromności i piękności. Młodą Paulinę można było do rzędu tych kobiét policzyć, które dość jest widzieć raz, aby się zająć miłością równo z życiem trwającą. Wyraz jéj twarzy miał w sobie tyle szczerości, iż prawie jéj myśli można było wyczytać. Serce Henryka przywykłe słuchać pierwszego wzruszenia zupełnie się poddaje najsłodszéj ale razem najgwałtowniejszéj namiętności. W przód się zakochał nim potrafił przywieść sobie na pamięć przyrzeczenie które go wiązało.

Zaczęto rozmowę o muzyce. Henryk widząc piękny fortepjan i wiele nót na nim rozłożonych, z nieśmiałością prosił Pauliny, aby raczyła co zagrać. Nie dała się długo prosić. Z właściwą skromnością siadła do klawikortu. Wykonawszy równie sztucznie jak przyjemnie kilka miejsc trudnych zaczęła grać z pamięci piękną dumę Szteibelta: Wezwanie nocy. Wdzięk i wyrażenie z jakiém tę piękną sztu-

kę wykonała zachwyciły wszystkich, ale najwięcéj wrażenia zrobiły na tkliwéj duszy Henryka. - Nakoniec przyszła chwila rozjeżdżania się towarzystwa. Henryk zbliża się do Pauliny, chce jéj podziękować, ale mięsza się, nie jest w stanie mówić i tylko przez spojrzenia maluje uczucia jakie go przejmują.

(Dokończenie w przyszłym Numerze).

LOGOGRYF.

Cała wprowadzam ton nowy,
Śpiewam w zapale, bez głowy.
Moja połowa pociechę nieci,
Ostatnią częścią męczę naprzód dzieci.

A. K.

Słowo Szarady 1 w przeszłym numerze umieszczonéj jest Kopernik. Szarady 2 Że-brak.

Omyłka. W numerze 28 na karcie 40 w wierszu 27 zamiast 2,000,000 franków, czytaj 8,000,000.

W numerze 29 na karcie 72 w wierszu 11 zamiast z drugiem trzecie, czytaj z pierwszém trzecie.